

Urszula Koziół, poetka, prozaik, laureatka m.in. nagrody im. Kościelskich (Genewa, 1969) i Nagrody Ministra II stopnia (1970), jako dramaturg zadebiutowała spektaklem „W rytmie słońca” (Teatr Kalambur, 1970). Kolejne sztuki to: „Biała skrzynia” (1977) i „Król malowany”, sztuka dla dzieci na motywach Andersena (1979), grana także w Zagrzebiu w 1980 r. Spektakl ten — w reżyserii Bogdana Jerkowičia z Zagrzebia — otrzymał I nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu im. Andersena w Danii (1981). Sztuka „Izba wytrzeźwień” zrealizowana została w Teatrze Polskiego Radia w 1971, a tryptyk „Trzy światy” we fragmentach, także w PR w 1975 oraz — jako „Biała skrzynia” — w Kalamburze (1977), gdzie tekst z „Trzech światów” połączono z fragmentami powieści „Ptaki dla myśli”. W 1982 roku Teatr Kalambur wystawił kolejną sztukę dla dzieci: „Sportolino”.

Urszula Koziół Trzy światy

Czytelnik
Warszawa 1982



Izba wytrzeźwień

A. — Ktoś
 B. — Pionek
 X. — Pionek
 S. — Strażnik
 J. — Kobieta
Działające głosy kobiet

Goście
 C. — taki jeden gość
 D. — profesor (?)
 E. — aktor (?)
 P. — taki jeden gość
 M. — literat (?)
 N. — krytyk (?)
 Z. — figura

Osoby

Objaśnienie. Rzec dzieje się w jednym miejscu. Powinno się jednak odbierać wrażenie dwu pomieszczeń, połączonych ze sobą drzwiami. W pierwszym, przechodnim, odbywa się większość rozmów i zwierzeń. Jest to jakby biuro? Kaplica? Cela? Izba przyjęć? Słowem, gabinet.

Drugie pomieszczenie ma charakter bankietowy i z każdym otwarciem drzwi wdiera się swoim zgiełkiem zabawy w służbową atmosferę pierwszego pomieszczenia.

Niektóre rozmowy zdają się odbywać w otwartych drzwiach. Pierwsze pomieszczenie ma okno, które od czasu do czasu ktoś z rozmawiających otwiera. Wówczas z zewnątrz wdiera się do środka hałas pracy: skrzętne kucie metalu, zgrzyt piły, warkot. Jest to jakby muzyka konkretna. Raz jeden przywołana wspomnieniem, przybliża się tu aleja parku z przedwieczornych godzin. Ale w zasadzie wszystko odbywa się w tym właśnie zamkniętym pomieszczeniu, którego nie sposób mi już precyzyjniej określić.

Bohaterów nikt nie zna osobiście. Stąd pewne trudności z nadaniem imion. Są z tłumu, wynurzają na moment własne twarze, żeby znów zapaść się w bezimiennym tłumie. Można by oznaczyć ich funkcjami, które pełnią. Ale pełnione funkcje podlegają zmianom, nie można przewidzieć, kto z nich zostanie kim jutro ani kim był wczoraj. O tymczasowych zajęciach niektórych bohaterów można najwyżej wnioskować z ich rozmów.

W końcu, czy to takie ważne, kim są? Za chwilę ich minimy.

Ktoś nowy już wychodzi naprzeciw.

Wejście 1

Stuk na maszynie do pisania trwa aż do wejścia B. A. krząta się, pogwizduje, przesuwa meble. Otwiera okno — słychać odgłosy z zewnątrz. A. zatrzymuje się przy oknie. Terkot telefonu. A. zamyka okno. Stuk maszyny do pisania wzmacnia się i wściekły loskot przesuwanego wałka maszyny zdaje się być śpieszniejszy.

A.

Tak. Słucham. Jestem przy aparacie. Tak... „A” jak aparat, we własnej osobie. Nie, już nie przyjmujemy. Powiedziałem — nie. Ależ zrozumcie, oni lada chwila będą tu... jak? Diabli nadali. Więc niech wejdzie, ale uprzedzić go, że najwyżej pięć minut, słyszycie mnie? Najwyżej pięć minut!

Trzask słuchawki, wściekły stukot maszyny, słychać ciężkie, zbliżające się kroki.

A.

z bezosobową rzeczowością Proszę bliżej, jeszcze bliżej... oddychać, nie oddychać... otworzyć usta... boli?

B. belkocze.

A.

Nie zamykać ust, szerzej — nazwisko? Głębiej?

B. belkocze coś z otwartymi ustami.

A.

Jak? Szerzej otworzyć, o t w o r z y ć mówię. Zamknąć.

B.

„B” jak but.

A.

Jak Bóg? Kawalarz z pana. do maszynistki. Niechże pani przestanie stukać. Słowo daję, oszaleć można.

Ostatni loskot wałka, wściekły szelest porządkowanego papieru.

B.

Mogę usiąść?

A.
Za co? Zresztą nie jestem ciekaw. Pokazać język... No, tak.
Możecie odejść.

B.
Nigdzie nie pójde. Wołajcie kogoś, żeby mnie posadził.

A.
Figlarz z pana, słowo daję. *terkot telefonu* Ma się te przyzwyczajajonka, nałogi, nieprawda? *do aparatu* Słucham? Tak, przy aparacie. Są już? Momencik *do B.* *naglęco* Żegnam, proszę opuścić salę.

B.
Nigdzie nie pójde.

A.
do maszynistki Proszę zostawić te papiery. Nie słyszy pani, że goście czekają!

Słychać wyniosły stukot obcasów kobiety, która przechodzi mimo. A. zwraca się znów do B.

A.
I po cóż się tak upierać? No, weźcie tylko na zdrowy rozum: po co? Co wam z tego przyjdzie?

B.
z rozmarzeniem Posiedzę sobie ździebko, odpocznę, odetchnę...

A.
ostro A zezwolenie jest?

Przez pokój przeciąga grupa zapowiedzianych gości, słychać przyciszone instrukcje kobiety — *tędy, proszę za mną, tędy* — goście stąpają na palcach i zapewne na migi nakazują sobie powagę czy milczenie — *pst, pst* — *ale wszystko to ich bawi, prychają zduszonym śmiechem, chichoczą, szepcą, potrącają meble, przepraszają i wreszcie dopadłszy drzwi drugiego pokoju, dają upust pohamowanej wesołości, witają się wzajemnym — aaa, i pan tu także? jakże mi miło, kopę lat, bracie, pamiętasz? A pani, jak zwykle, piękna... — tśś — nie przeszkadzajmy. Ha, ha, ha! — a to dobre! itp.*

A.
zduszonym szeptem, jeszcze w czasie przechodzenia gości Bądźże człowiekiem, obywatelu. Każdy by chciał posiedzieć. Zima idzie...

B.
rozmarzony Toż przecie mówię: zima idzie.

A.
A tu opał, wikt i opierunek za darmo, łóżko i opieka lekarska... wiecie choć, ile nas to kosztuje?

B.
Odmawiasz, kolego? Mnie odmawiasz? A wiesz chociaż, za kogo chcę siedzieć?

A.
Za kogoś? Co wy mi tutaj.

B.
Ktoś przecież musi za to odsiedzieć, nie? Więc właśnie ja chcę; za ciebie, za mnie, za nich, za cały świat. Za tych wszystkich, którzy nie odsiadawali za siebie ani minuty, za...

A.
Patrzcie go, znalazł się odkupiciel; obłachany łazęga, który...

B.
nachalnie Chleba naszego powszedniego. Kolego, bracie, nie odmawiaj chleba. Podziel się ze mną, bliźni, przyjacielu, wrogu, daj chleba — i dozwól wythnienia.

A.
A dajże spokój.

B.
Święty spokój, bracie, daj i daj myśleć, nie rozpamiętywać... Ależ mnie suszy!

A.
Nie mamy tu wody.

B.
Wiem, wiem, alkohol tu macie. Nie piję.

A.
Lecz masz pragnienie.

B.
Tym go nie ugaszę. Wódka nie rzeźwi, woda nie obmywa...

A.
Diabli nadali!

B.
A znasz to, co s p l y w a? Trzeba mi tego, co bez śladu s p l y w a, tak jak po kacze.

A.
Idziesz, czy zostajesz? Goście czekają.

B.
A no, tak: zostaję. Posiedzę krzywą.

A.
Za mnie...

B.
I za ciebie. Co mi tam. Jeden więcej...

A.
Odkupiciel, Brudny, w łachmanach.

B.
Cóżem ci uczynił, com ci uczynił, człowiecze... Zaczekaj!

A.
Dość tych komedii.

B.
konspiracyjnie Jadłem twoje ciało, krew twoją piłem.

A.
Widzę, żeś pijany.

B.
Oddał ode mnie ucieczkę przed sobą... ciężko doświadczasz mnie i bez wytchnienia pędzisz mnie w drogę. A przecież niewiele pragnę. Chcę tylko spocząć, gdy bolą mnie nogi, usiąść, rozluźnić wiązadła. Tamują oddech...

A.
To wszystko?

B.
Mniej więcej.

A.
Dogadaj sobie więc, tak jak potrafisz. Na mnie czekają.

B.
A więc mi pozwalasz? Ot, dobry z ciebie chłop. Tak też myślałem. Czemu by miał mi zabronić. Albo z jego prywatnej kieszeni? *wzdycha z ulgą*

A. odchodzi i trzaska z pasją tymi drzwiami, za którymi jest zgiełk i to powitalne: Aaa! Wreszcie mamy pana u siebie.

B.
Uff... jak dobrze. Jak błogo. Spokój. Żadnych trosk, żadnej odpowiedzialności... Jeszcze tylko buty zdjąć, onuckę odwinąć... rozkosz.

Wejście 2 *Dźwięk jak z lekko trąconej pojedynczej struny, zrazu wątpliwie wibruje i wzmagą się, trwa przeciągle, i to jego przeciągłe trwanie staje się aż niesamowite.*

B.
Ale mnie suszy... rany! Język przysycha wprost do podniebienia i w środku taki trzask, jakby jelita skręcały się we wióry. Tak bym się skąpał, wychlastał, wytaplał w czymś, co nie cuchnie i co nie uwiera... Nic nie spłynęło po mnie. Nazbyt lekkie było to wszystko, czy ja nazbyt Ignąłem? Teraz oblażą mnie wszy tamtych czynów cudzych i własnych...

B. szarpie okno. Zgłask muzyki konkretnej. Z sąsiedniego pomieszczenia ktoś wchodzi. B. zamyka okno. Pauza ciszy. Wejście 3

X.
Hej, jest tu kto?

B.
A bo ja wiem?

X.
A więc jednak ktoś jest. Ani chwili wytchnienia, osobności, samotności. Stale świadkowie. Jakiś świadek. On właśnie przy tym był. Widział. Może zaświadczyć. Pamięta to doskonale. Było to w... Do diabła. Jest pan świadkiem?

B.
To zależy.

X.
Do diabła. Więc kim pan jest?

B.
Niby ja?

X.
Przecież nikogo tu oprócz pana nie ma.

B.
Nikogo nie ma.

X.
Ale pan jest.

B.
Co tam ja. Ja się nie liczę. Pionek jestem. Nie odpowiadam za nic.

X.
Za nic? Więc za co pan siedzi?

B.
Za nic.

X.
Każdy tak mówi. Dawno pana posadzili?

B.
Przed chwilą. Sam usiadłem.

X.
Sam? A zezwolenie: jest?

B.
Albo wadzi to komu, że siedzę? Nie za siebie siedzę. Nie tylko za siebie.

X.
Męczennik.

B.
Gdzie mi tam do tego. Dobrze mi tak, jak jest. Żadnej odpowiedzialności, żadnej decyzji — niech się inni pomartwią.

X.
I nikt nie wyrzuci pana stąd, nie odwoła, nie wygryzie?

B.
Może przeoczą, przecież nie włożę nikomu w paradę, nie ubiegam się... ot, buty zżółknęły, onucki odwinąłem, rozmyślałem... żeby tak jeszcze trochę wody.

X.
Panie, a może ja bym też tak... co? Wadziłoby to panu? Masz pan tu pewnie jakieś chody... nie wstawiłbyś się u naczelnika za kolegą?

B.
Ja jestem naczelnikiem.

X.
Przepraszam, nie wiedziałem.

B.
Nie szkodzi. Proszę bliżej, otworzyć usta, oddychać, nie oddychać, język.

X.

To nie to, obywatelu. Gębę mam w porządku.

B.

A co wam dolega?

X.

Jakby tu rzec...

B.

Wal, bracie, prosto z mostu.

X.

z zająknięciem Unoszę się.

B.

Nie rozumiem.

X.

No, tak zwyczajnie: hops! — unoszę się w powietrze.

B.

Lotnik?

X.

Ba! Żebyż to. Ja sam, sam z siebie, rozumiecie? Ech, co wam będę gadał. Mam za miękkie serce, czy co?

B.

A zezwolenie jest?

X.

Niby co do serca — nie. Ale nikt jakoś nie zabronił.

B.

No, tak. Zakazu nie było.

X.

Więc wzruszam się. A jak tylko się wzruszę, zaraz — hops!

B.

Toś ty taki, bratku. I nie wstyd ci?

X.

Pamiętam, szedłem sobie onegdaj aleją w parku.

Głos oddala się w aleje parku, cisza przedwieczorna, świergot sennych ptaków.

X.

Był letni zmierzch. Chmury nabrzmiałe ciepłą wilgocią parowały i skryte słońce obramowało je światłem. Ludzie wyciszeni od wewnątrz szli wolno i w zamyśleniu i zatapiali wzrok w te złote ramy gasnącego blasku. Pomyślałem sobie wtedy... Tak właśnie powinno być zawsze. Powinien być spokój i cisza, w której człowiek owiany jedynie ruchem powietrza i prądem światła powinien w długim zamyśleniu przechodzić na drugą stronę życia, nie popychany żadną obcą przemocą, niczym ponagleniem. Powinien przepływać w tym złotym obramowaniu jak obłok w swojej bezustannej podróży — aż do wygaszenia światła — w ciemność.

Dźwięk pojedynczej struny kołuje nagle jak brzęczenie natrętnego owada.
Wejście 4

X.

Hyyy, co to, o rany, unoszę się! Niech mnie gęś kopnie! Panie, nie jestem godzien... A niech to! Hyyy, komedia!

Słychać stukot nóg, turkot wózków dziecinnych, zgiełk.

Dziablące głosy kobiet

Cud, cud prawdziwy, człowiek się wznosi w żywe oczy. Chwalcie, wargi, Pana, o matuchno, święty, święty.

S.

Rozejść się, rozejść. Nie robić zbiegowiska. Ach, te baby, te baby. Cofnijcie się, obywatelki, dajcie dostęp władzy, mówię po dobremu. A wy, obywatelu, stać. Ani metra wyżej, po dobroci mówię.

X.

Ba, dobrze wam mówić: stać. Ale jak? No, zresztą, co mi tam, pionek jestem... diabli nadali. z głuchym stęknieniem wali się



na ziemię Aleś mnie pan zażył z mańki, panie władzo. Tak-
żem sobie prasnął o ziem, aż mi gwiazdy w oczach stanęły.

S.
Bez dowcipów, zrozumiano? Po dobroci mówię. Wytłumaczyć
się.

Dziamlące głosy kobiet

Święty, ach, patrzajcie, ludzie, cud, cud prawdziwy tu udzia-
lano, łaski daj, odpuść winy, o Panie, któryś nam się
objawił.

S.
A zezwolenie: jest?

X.
Nie mam zezwolenia, ale jak Boga kocham, ani to nie był
żaden cud, ani ja żaden święty. Ot, człek ze mnie zwyczajny,
można powiedzieć, pionek. Troszkę uniosłem się i tyle. Nie
ma o co sprawy robić. Człowiek raz się uniesie, pięć razy
spadnie — to ci komedia!

S.
Wysoko?

X.
Gdzie tam. Całkiem nisko, niziutko, co tam tego było, tycio
nad ziemią... Ale mnie niosło, no niech skonam, istna kome-
dia!

S.
Tycio? Taki kawał nad ziemię to dla was tycio? Przebraliście
miarę, obywatelu, ot, co wam powiem, fakt. Ano, chuchnijcie
w balonik.

X.
Co mi tam, mogę chuchnąć. *chucha* Ale ja niepijacy. Ot, zda-
rzyło się. Idę, idę, zamyśliłem się, pogoda taka jakaś... zasta-
nawiająca, czy jak? I nagle... hops! Uniosłem się. Ot i nowi-
na. Człowiek raz się uniesie, pięć razy spadnie.

S.
A zezwolenie: jest?

X.
Nie było zakazu.

S.
Niby prawda. Zakazu nie było. I co teraz z wami zrobić? Nie
pijany, nie nawołuje, ale zbiegowisko robi, zamęt posiewa
światopoglądowy, fakt.

X.
z nadzieją To jak będzie, panie władzo, posadźcie mnie?

S.
Każdy by chciał posiedzieć. Zima idzie...

X.
Toż właśnie mówię... Zima idzie.

S.
Wiecie, co wam powiem? Wy lepiej idźcie do domu i prze-
stańcie się unosić, dobrze wam radzę. A wy, baby — do cha-
łupy, do roboty, ale to już! Po dobroci mówię. Dzieci pewnie
głodne, śpiące, pewno się nie uczą — a wam cuda w głowie.
Mąż czystej koszuli nie ma, kolacji nie ma mu kto podać,
a wam furt cudów i cudów się zachciewa. Po dobroci mówię:
rozejść się, cofnąć, bo jak palnę!

Wzbudzony szmer głosów cofa się.

S.
do X. No, chodu za mną, obywatelu. Muszę was doprowadzić,
zanim wam te baby obszarpią portki na relikwie. To ciemny
naród. Lepiej trzymajcie się blisko mego boku, dobrze wam
radzę.

*Odgłosy przepychania się przez tłum dziamlących głosów:
Odpuść, ześlij, nie dopuść. Nad tym mamrotaniem wzbija się
porządkujące wołanie S.: Rozejść się — przepuścić!*

S.
poufnie do X. Potrzebne wam to było? Uch, takich jak wy,
to ja bym.

Powrót głosów do wnętrza. Pojedynczy dźwięk struny.

Wejście 5

X.
Wtedy właśnie, tego wieczora, uniosłem się po raz pierwszy.

B.
I co: dalej się unosicie?

X.
Ale za co, sami powiedzcie, za co mnie spotyka ten wstyd?
Porządny człowiek jestem, świństw nikomu nie robię.

B.
To może... zacznijcie robić świństwa?

X.
Kto: ja? Za kogo mnie pan ma! Ja bym muchy nie ukrzywdził, komara bym...

B.
Nie unoscie się. Siadźcie. Kto tu mówił o muszce. Są przecież ludzie...

X.
Tśśś...

B.
Taaak... ludzie są wszędzie.

X.
Ci tutaj... bawią się.

B.
Ot, kłopot, kłopot macie, człowiecze, prawdziwy kłopot. Ale kto go nie ma?

X.
Ci tutaj... bawią się. Szaleją. Takim to dobrze, co nie pamiętają. Też bym się napił. Kapkę. Czasem to pomaga. Kiedy się potem przewracam, przynajmniej wiem, po czym tak się przewracam.

B.
Słuchaj, kolego, co tam się wyprawia.

Wejście 6 *Przez gwałtownie otwarte drzwi bucha zgiełk pijackiej zabawy. Na tym tle wyodrębniają się głosy. Rozmowy toczą się w jednym punkcie, przy drzwiach. Są okalane śmiechem tańczącej kobiety, która wiruje coraz to z innym partnerem na zapleczu rozmów, zbliża się i oddala, ale jest ciągle obecna, niekiedy podchwytuje melodię, niekiedy mówi swoje zwariowane: „Jak ślicznie, lekko tańczysz pan”.*

C.
z pijackim uporem Siała baba mak, nie wiedziała jak...

P.
z pijackim uporem Czerwone maki na Mooonte Cassinoo...

C.
j. w. A dziad wiedział, nie powiedział, a to było tak.

P.
j. w. Czyrwone... na Monte...
Chichoty, piski, brzęk szkła.

D.
ze starczym drzeniem To stało się zbyt dawno, lecz nadal trwa z nami ten pogłos
poczyn
posłuch
— zbyt popamiętany
podmucha naszych podziejów.

E.
Lelum-polelum, profesorze. Chluśniem, bo uśniem.

D.
Sny nabiegłe potęgą za bramą zostały.

E.
Kurdesz nad kurdeszami! Było, minęło. Jest, jak jest, i siup!

C.
Tak nam tu dobrze, że dobrze nam tak.

E.
śpiewa Albośmy to jacy tacy, jacy tacy.

C.
śpiewa Cacy, cacy, cacy, cacy.

E.
Wesel się i raduj, duszo moja, nadaremno.

J.
Pan nie tańczy? Pan mi obiecał.

E.
Bestyjko! Pani tego sama chciała.

D.
Za bramą zostały...

P.
groźnie z pijackim uporem Panie, był żeś pan w ZOO... Widział żeś go pan w klatce i te jego białuchne piórka?

J.
„Jak ślicznie, lekko tańczysz pan”. *oddala się*

E.
z oddali Kurdesz nad kurdeszami!

D.
Tśśś... ciszej, na Boga!

P.
z pijackim uporem Takiś pan bojący? Toś pan taki? A wiesz pan, że Hindusy wołają z głodu zdychać, niż żeby te ich święte krowy, a my... *szloch — czkawka* Te jego piórka takie tam obtentegowane...

D.
Niezupełnie pana chwytam. Pan właściwie w jakiej sprawie?

P.
groźnie Pytam się: A co, nie wolno? Widział żeś go pan w klatce czy ni!

E.
przez ramię w tanecznym wirze Jak ci kura nie w smak, to se spraw quetzala. Quetzal nie obsrywa piórek w klatce. Quetzal w klatce popełnia samobójstwo. Ha, ha, ha.

Pozostali
Ha-ha-ha.

E.
oddalając się śpiewa
Quetzal ptaszek kolorowy
Co nie większy jest od sowy
hop tra — la — la — la
rach-ciach-ciach.

C.
na tę samą nutę
Nie stać was na złoty środek
to se sprawcie tombakowy
hop, tra-la-la-la
rach-ciach-ciach

Pozostali
Ha-ha-ha.

P.
Panie, wiesz pan? My szli! Ja w czternastym, panie, w osiemnastym, my szli w mrok, a tam, za linią...

J.
„Jak ślicznie, lekko tańczysz pan”.

E.
W tany — w tany, za mną w tany!

P.
O, patrzaj pan, jaka rana. Pan to znasz? I znowuż w czterdziestym.

M.
zbliża się z N. Albo inna zabawna historia.

N.
No, no ciekaw jestem...

M.
Czekam na autobus, obok dwu licealistów.

P.
A tu: wpieriod! Urraaa! i kulki: wziuuiu! Wziuuiu!

D.
Tak, przyjacielu, zgadzam się najzupełniej.

N.
Kolega pozwoli, profesor...

P.
W gardle mi zaschło. Napijem się? Ja stawiam:

D.
Bardzo mi miło. Nie, nie przyjacielu, nie piję.

N.
...znawca przedmiotu, zawiłych prądów...

P.
Gardzisz pan. Wyście już tacy: gardzisz...

M.
A ja tu właśnie mam anegdotę.

D.
Ależ wprost przeciwnie. Niestety, zdrowie. Ba, kiedyś! ho, ho!

P.
odchodzi Ja swoje wim. Gardzisz pan.

N.
Więc czekał pan na autobus, obok dwu licealistów...

J. i E. przechodzą.

E.
... i kiedy pani tak się kołysze...

J.
Pan wypada z tekstu: miało być: „Zraniony aż do głębi serca”.

E.
Suflerko!

M.
Tedy... czekam. Oni gawędzą z ożywieniem, mniejsza o czym, dość, że wymieniają wielokrotnie nie więcej niż pięć wyrazów. Te wyrazy — słuchacie mnie, panowie?

D.
No, no... interesujące.

M.
Powtarzały się w tych samych układach, ale w zmiennej intonacji.

N.
śmieje się Domyślał się, że były to, rzecz jasna, wyrazy zachynające się na...

Wszyscy trzej śmieją się.

N.
Zgadłem czy nie? Ha, ha, ha!

D.
Istotnie, ubogi słownik.

M.
Ale za to jaki sukces awangardy: Najmniej słów!

Śmieją się.

M.
I rzeczywiście. Muszę się panom przyznać, że zrobiło mi się trochę za ciasno w tym układzie. Zatemknęłam.

D.
„...do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych”.
Wybuchają śmiechem: A to dobre, doskonale!

M.

ciągnie Ukapałem się w domu w wielu słowach, w jak najwięcej.

N.

A nocą układa pan synonimy: zgadłem?

M.

Pointa profesora jednak najlepsza. *śmieje się* I zatęskniłem do tych pagórków leśnych.

N.

Figlarz z profesora.

M.

cicho, porozumiewawczo, z przymrużeniem oka Ale tak mówiąc między nami, zezwolenie: jest!

Wybuchają hałaśliwym śmiechem, oddalając się, ktoś z nich proponuje: A może by tak się czegoś napić?

Zgrzyt pojedynczej struny pęka i znów wibruje przez chwilę przejmująco.

Wejście 7

Z.

cicho, wywoławczo Trzy, jeden, dwa.

A.

cicho, posłusznie „A” — jak aparat, melduje się na rozkaz.

Z.

Służbista z pana. Nie stójże pan w tych otwartych drzwiach tak wyprężony przede mną, to zwraca uwagę. Ot, utniemy sobie swobodną, towarzyską rozmówkę.

A.

Rozkaz.

Z.

Do diabła. Przecież mówię.

A.

Proszę wybaczyć, ekscelencjo...

Z.

Nie przesadzajmy z tytułami. Zwłaszcza że ilekroć widzę pana, odnoszę wrażenie... słucha mnie pan?

A.

Ma się rozumieć.

Z.

Że to pan jest ową Najwyższą Liczbą, wokół której obraca się to wszystko. Cóż, nie zaprzecza pan? *śmieje się*

A.

Pan, ja, czy ktokolwiek... czy to takie istotne? Ważne jest to, żeby coś obracało się wokół czegoś nieustannie. Tak nas instruowano.

Z.

Jednak nie odpowiedział mi pan... *śmieje się sztucznie* Znów pozostawia mnie pan bez odpowiedzi.

A.

Wszyscy jesteśmy bez odpowiedzi... Zgodnie z regulaminem.

Z.

Taaak... nikt nie wie; słucha — czy jest słuchany; sam pyta, czy jest zapytywany... ciekawe. W każdej chwili może okazać się, że pan to ja; to znaczy, że bierze się kogoś za tego, kim nie jest... zabawne. Bardzo zabawne. Wszyscy razem bierzemy się za kogo innego, niż jesteśmy. *śmieje się* Nie sądzi pan, że to zabawne?

A.

Jesteśmy literami tego samego alfabetu. Ekscelencja zdaje się zapominać o tym?

Z.

A pan, o czym pan pamięta?

A.

Pamiętam, żeby czynić właśnie to, co w mojej mocy. Staram

się. Oto co nam zostało: starać się; więc się staram. Powiadam sobie — spójrz, właśnie staję przed tobą ktoś nowy... nie traktuj go jak człowieka. Traktuj go jak klienta albo — pacjenta. On nie marzy o niczym innym. Chce tylko być przyzwyczajony do osłuchany lub obsłużony, to wszystko. *zmienionym głosem* Pan sobie życzy? Proszę bardzo, służę uprzejmie, słucham uprzejmie. A może ten, nie? Więc, ten... Doskonale. Nie, żałuję, chwilowo zabrakło. Zapakować? Odesłać? Polecamy się łaskawej pamięci, moje uszanowanie panu, moje uszanowanie pani, proszę się kłaniać małżonce.

Z.
Niech pan przestanie!

A.
z rozpędem Tak... proszę bliżej. Co dolega? Otworzyć usta. Zamknąć. Oddychać. Nie oddychać... boli?

Z.
histerycznie Niech pan przestanie w tej chwili.

A.
zmęczony Czekam na instrukcje.

Z.
Pan żartuje... *po chwili* Pan wydaje się być przemęczony. Jakiś maleńki urlopik, he? Zgadłem? To się da załatwić. Na przykład: nie chciałby pan sobie trochę... tego... posiedzieć?

A.
Ja?

Z.
A cóż to panu szkodzi? Zima idzie.

A.
Pan wybaczy, ekscelencjo, ale...

Z.
zachęcająco Zima idzie...

A.
To ponętne, ze wszech miar ponętne.

Z.
zachęcająco Opieka lekarska, leżakowanie, wyżywienie...

A.
w rozmarzeniu Żadnych trosk, żadnej odpowiedzialności za nic.

Z.
No właśnie. Za nic.

A.
Niestety. Już ktoś za mnie siedzi.

Z.
Za pana?

A.
Za mnie, za pana, za cały świat.

Z.
Pan oszalał? Jak można było do tego dopuścić!

A.
Upaść się. Taki jakiś maniak. Stale kręcą nam się tu po świecie jacyś maniacy.

Z.
I, powiada pan, siedzi za pana? A z czyjego poruczenia?

A.
Ot, właśnie, zapomniałem go o to zapytać.

Z.
Na jakim świecie pan żyje! Trzeba to odrobić. Lecz co ma w zamian, dał mu pan coś w zamian?

A.
Uwolniłem go. Wziąłem na siebie wszelkie decyzje, wszelką odpowiedzialność.

Z.
Hm. Więc znowu obrał pan sobie gorszą część: Pan decyduje, pan odpowiada...

A.
Ale on siedzi.

Z.
Za nic!

A.
Za mnie, za pana...

Z.
Więc kto odpowiada za decyzje, skoro pan uwolnił go od odpowiedzialności, a on siedzi.

A.
On siedzi za nic. To znaczy — za nas. Ja odpowiadam.

Z.
Niesłychane. A zezwolenie?

Ostry, wibrujący ton załamuje się miękko, ulegle, przechodzi w intymną melodię. W tle nasilenie gwaru i zabawy.

Wejście 8

J.
„Jak ślicznie, lekko tańczysz pan.”

E.
No proszę, proszę mi nie odmawiać.

J.
Już powiedziałam. Wypada pan z tekstu.

E.
Bo pani ma takie niepokojące oczy... Coś w nich jest zaczajonego, drapieżnego.

J.
Filut z pana, słowo daję.

E.
Dzkie zwierzątko... no, nie broń mi się. Znowu spojrzała pani tak jakoś dziwnie, złowrogo. Pani mnie onieśmiela, prawdę mówiąc trochę się pani boję... niech pani będzie bardziej kociątkiem, no, proszę.

Muzyka.

J.
do siebie Niech mówi, niech sobie mówi cokolwiek, wszystko mi jedno, byleby mówił... Boże, jestem trafiona, trafiona... co za ohyda. Nienawidzę siebie za swoją słabość. Wymazać, zatrzeć, zedrzeć to nic, co przyłgnęło do moich jelit, tę odrobinę niczego, zanim... *do E.* Co za głupstwa. Czego się pan we mnie tak... przestraszył?

E.
Papieroska?

J.
Chętnie. No proszę, śmiało proszę mówić. Pan zaciekał mnie. *namiętnym szeptem* Niech pan mówi, mówi, dużo mówi, lubię pana głos.

E.
O, kurdesz nad kurdeszami! Co chcesz usłyszeć?

J.
ostro Wszystko jedno. Proszę mówić cokolwiek, deklamować. Wygłaszać. Tyle pan przecież potrafi.

E.
Naprawdę kicia lubi mój głos troszeczkę? Aż tak lubi?

J.
Nie pytać, tylko mówić.

E.
Adyć, nie zawsze potrafię wyrzec to, co czuję. Pani rozumie. Człowiekowi brakuje słów, kiedy się nazbyt uwikła w cudze. I kiedy zna ich zbyt wiele.

J.
Nigdy za wiele. Muszę to panu przyznać, że posługuje się pan nimi znakomicie, tymi cudzymi słowami. Wypowiada je pan jak własne. Zawsze podziwiam pana za to... na scenie.

E.
Naprawdę? Niech mi pani powie jeszcze coś miłego, no, proszę.

J.
Kto z nas dwojga właściwie jest tu kobietą? Czy względy i te pochlebstwa nie przynależą raczej mnie?

E.
ostro A zezwolenie: jest? *gryzie się w język* A niech to wszyscy diabli. Zdaję się, znów pomieszałem role i zgubiłem wątek.

J.
To niech pan zacytuje. W pana sytuacji mając na zawołanie odpowiednie kwestie napisane w sam raz na tę lub tamtą okazję... i to przez jakie pióra! Mówiłam już przecież; proszę się trzymać tekstu. Swoimi słowami mówi pan jak...

E.
...jak grafoman. Czy to chciała pani wyrzec?

J.
naśladuje rozmowę telefoniczną Głośniej. Są zakłócenia w odbiorze... halo! Nie, nic nie słyszę. Ktoś włączył się na linię...

E.
Wszak jestem tutaj, nie pojmuję.

J.
Głośniej. Oczywiście, wiem, że to pan, ale cóż stąd, kiedy... nie. Nic nie słyszę. Przerwana rozmowa... halo! Proszę zadzwonić... może innym razem. *odchodzi. Słyszysz się wyniosły stuk jej metalowych szpilek.*

E.
zrazu do siebie — potem do sali Ach te kobiety, kobiety! Wszak ją stworzyłem. Dziś, tego wieczora była tak szara,

jakby jej nie było. Tchnąłem ją blaskiem, weszła światłowieniem od moich wejrzeń, słówek rozjarzona. ...lubie przydawać kobiecie urody mówiąc jej tylko, że jest pożądana... Lubie kobiety w sobie rozkochiwać. Lecz ta odeszła stąd nie rozkochana. Ta wzniosła między nami szklaną ścianę. Zostałem po tej stronie pokonany. Lecz skąd ta ściana? Skąd taka zapora?

Rzęsiste brawa pozostałych. Wołania — bis! bis!

E.
Dziękuję państwu... wzruszony jestem prawdziwie... doprawdy...

N.
Spieszę poinformować, że mamy zaszczyt gościć wśród siebie także autora tych zachwycających...

M.
Ależ po cóż, kolego... całkiem niepotrzebnie.

Pozostali
Brawo dla autora. A-u-tor!

Rzęsiste brawa.

M.
Dziękuję... doprawdy, ale co znowu...

E.
To miło... rzekłbyś.

Brawa.

Długi dźwięk samotnej struny.

Wejście 9

J.
do siebie Chciałabym ranić, boleśnie ranić tego lub kogokolwiek innego za swój ból... za brak mojego bólu. Jestem trafiona. I robi mi się mdło na samą myśl, że jak zwierzę, zupełnie jak zwierzę. A może jeszcze jakaś nadzieja? Módlmy się o ból, mój ty biedny brzuchu, prosimy o nasz powszedni, re-

gularny, przeklęty ból, którego nam zabrakło, którego wyczekujemy w popłochu od kilkunastu już dni nadaremno, którego nasłuchują wszystkie myśli, sprzężone, zespolone nagle z każdym drgnieniem mięśnia, włóknom skóry, smakiem śliny.

X.
Pani się modli, dziecko?

J.
Och! Nie wiedziałam, że ktoś tu jest poza mną. *śmieje się*
Więc mam świadków? Kim pan jest? Kim jesteście wy obaj ukryci, zaczajeni w cieniu.

B.
To zależy, kogo pani potrzebuje.

J.
Sama nie wiem. Trochę upiłam się... Bóg, szatan, ksiądz... wszystko mi jedno.

X.
Słowem: świadek.

J.
Albo dozorca.

B.
Anioł stróż.

J.
O, właśnie. Dobrze pan to oddał.

X.
Jestem przy pani.

B.
Jestem także: do usług.

J.
To nieprawda. Opuścił mnie pan. Już dawno mnie pan opuścił... ty także. Co robiliście w tym czasie?
Zmiana konwencji: Następuje scena rytualna, rodzaj spowiedzi.

B.
Wysłuchaj nas...

X.
Słuchaj... Mordowałem.

B.
Grabiłem.

X.
Piłem krew twoją i spożywałem ciało twoje.

B.
Spożywałem ich ciało... było kruche, białe, dobrze przyrządzone.

X.
Smakowało mi.

B.
Żarłem mięso moich zmarłych. Było łykowate, cuchnące mrozem i głodem.

X.
Smakowało mi.

B.
Spijaliśmy krew winną i niewinną.

X.
Jednako mdła.

B.
Posmakowałem.

X.
Torturowałem... byłem torturowany.

B.
Czy mam ci opisać, dziecko, tortury, jakie zadawaliśmy ludziom, jakie zadano nam.

Stukot maszyny, wściekle przesunięcie wałka.

J.
Pamiętam.

B.
Nic nie pamiętasz, nie możesz sobie wyobrazić, nikt nie jest w stanie wyobrazić sobie tego, co wyprawialiśmy z ludzkim ciałem.

X.
I z jego duchem.
Stukot maszyny, gwałtowne przesuwanie wałka.

J.
Pamiętam.

X.
Było nas wielu torturowanych i torturujących.

B.
Mieliśmy jasne włosy i czarne; oczy skośne i proste; nosy wypukłe i płaskie.

X.
Brodziliśmy w jelitach, w korze mózgowej, w łajnie, w zaduchu krwi, we włóknach nerwów.

J.
Pamiętam.

X.
Uciekaliśmy...

B.
Uciekaliśmy. Z zaklejonym okiem, w portkach ubitego parobka, przebrani czmychaliśmy jak śmierzące tchórze za mury, za wzgórze, za ocean.

X.
W śmierć. W rytualnej paradzie harakiri mężnie i nadaremnie po zbójceku płaciliśmy ten zbójceki rachunek nie do zapłacenia.

B.
My i oni, oprawcy i ofiary, hańba im i nam, hańba, i tylko hańba, wszystko to jedna wielka hańba.

J.
Dosyć. O Jezu, mówię. O Chrystusie. Dość. Kogo mam wzywać, nie znam ich imienia.

B.
Nie daliśmy im imienia. Poskapiliśmy. Zmarnowana szansa.

X.
Cierpieli za nas — kto? Nie wiemy.

J.
Miliony...

X.
Ale kto? kto? Czyjego masz wzywać imienia?

B.
Mówił Mickiewicz — cierpię za miliony.

J.
Ja tak nie umiem. Umiem współodczuwać tylko z kilkorgiem naraz i nie z więcej, jedno z kilkorgiem.

X.
Mogliśmy obrać Jednego, Jednemu złożyć z imienia tę straszną koronę, żeby go oplwać i żeby go szargać.

B.
Teraz za późno. Zmarnowana szansa. Nie ma imienia do daremnych wzywań, jest tylko hańba.

J.
Ale on wędruje. Zwraca się ku nam z nie poznaną twarzą. Wskroś bańki z naftą.

B.
Cuchnie przypalonym ścierwem. Tę woń znam dobrze: za godnością hańba.

J.
Pamiętam.

B.
Bzdury. Pewnie cię nie było jeszcze na świecie, kiedy to my sobie tak poczynali.

J.
Jednak pamiętam zbyt dobrze. Matki to pamiętają. Siostry, narzeczone, żony, kobiety... Ale skąd to znamy? Nie wiem. To się przenosi na nas w nagłej chwili. Okropna pamięć. Straszne nadwidzenie. Z każdym obrotem księżyca na nowo, by się obrócić w lęk. I w przerażenie. W morderczy instynkt — żeby wprzód zagłodzić to, co niemrawe jeszcze ledwo w łonie. Nim wszędzie bestią pod nowy horyzont.

Wzmoczenie gwaru.

B.
A tam się bawia, a tam im wesoło.

J.
Gdybym głos miała, który by dolecieć mógł i mógł trafić do każdej kobiety.

X.
Rzekłabyś...

J.
Klnę was na wszystko, słuchajcie, trzeba zaniechać narodzin, zawiesić wszelkie poczęcie aż do odwołania, póki nie zdechną ci wszyscy, dla których potrzeba waszych synów, waszych córek do nowych mordów. Póki nie zdechniecie wy, którym ludzki pot i krew smakuje tyle co piwo. Tak, to o was mówię.

A.
Skąd te odezwy, wiece, przemówienia. A zezwolenie?

J.
Spiałam się, proszę... Czy to nie zabawne? Proszę zatańczyć... wszak mi pan obiecał.

A.
Służę, już słucham najpiękniejszej z dam.

J.
„Jak ślicznie lekko, tańczysz pan.”

Długi wibrujący dźwięk struny.

X.
Duszno tu. otwiera okno

Wejście 10 *Z zewnątrz wdzierają się chroboty, zgrzyty, młotki, dźwięk metalu i pracy.*

B.
z rozmarzeniem A tam pracują.

X.
A my tu siedzimy.

B.
Za co? Za kogo?

X.
Za nikogo. Za nic.

B.
Eeee... nie wypada. Gdy się obiecało.

X.
Nic nie pamiętam.

B.
Jednak nie uchodzi.

X.
Co, chcesz tu za tych? Za tych? Zwariowałeś?

B.
Słowo się rzekło.

X.
Słyszał ktoś to słowo? Ja nie pamiętam. *stuka* Hej, hej tam.
Otworzyć! Chcę wyjść!

Zgrzyt klucza, kroki.

S.
No, no, tylko bez żadnych hałasów, bez nawoływań, po dobroci mówię.

X.
Chcemy wyjść.

S.
Kto by nie chciał wyjść z tego? *śmieje się* Ale tu nie piekarnia. Śpiesz się powoli — napisano jest.

X.
Uch, bo mnie poniesie.

S.
Nie podskakujcie, obywatelu, dobrze wam radzę. Już tu taki jeden był, co podskoczył. I kto dziś pamięta o tym denacie?

B.
Nic nie pamiętam.

S.
A u nas był notowany. Zwał się Ikar. Słońce śmierć zgottało mu przez utonięcie. Kto zbyt wysoko mierzy...

X.
Ten upada.

B.
Zwłaszcza gdy lot ma ulepiony z wosku.

S.
Z wosku, nie z wosku, stal też się wygina, gdy ją przypiekać. Zależy od ciała: Jedno zastyga, drugie się wygina, inne się kruszy.

X.
Tak... ciała są kruche.

B.
Nic nie pamiętam.

S.
dobrodusznie Kto by chciał pamiętać? Ale my wszystko, wszystko przypomnimy, my pamiętamy co do ziarnka maku... do X. A za co siedzi, skąd wziął się ten drugi?

B.
Ja siedzę za nic.

S.
Za nic?

B.
Nie za siebie. Może... W twoim zastępstwie?

S.
Ej, coś mi się widzi, że wam nie całkiem z głowy wywie-trzało.

B.
Nic nie pamiętam.

S.
A my *śmieje się* p a m i ę t a m y. Tak to już na tym świecie urządzone. Ktoś musi sprawdzać. Musi przypominać. Świadczyć, zapisać, powoływać, badać.

X.
Lecz za co? Za co?

S.
Nie zabraknie przyczyn. Nie dyskutować, po dobroci mówię. U nas nic nie ma bez jakiejś przyczyny. Tu nic za darmo...

B.
zachodzi S. z jednej strony Ej, coś mi się zdaje, że my się znamy, kolego...

X.
zachodzi *S.* z drugiej strony. Tak, bratku, my też się znamy.

S.
Co znowu, koledzy! O co wam chodzi, ja jestem niewinny!

B.
Ależ kto mówi o winie? Tu raczej chodzi o udział.

S.
Nie brałem udziału.

X.
A przecież... żyjesz.

B.
szeptem Pamiętasz?

X.
szeptem Pamiętasz?

S.
Nic nie pamiętam!

X.
Po dobroci mówię: masz zezwolonko?
S. milczy.

B.
Nie brałeś udziału... w czym, jeśli łaska?

S.
Ja... nie pamiętam.

X.
Już my to zbadamy.
Brzęk kluczy, zgrzyt w zamku.

A.
Co dolega?... proszę bliżej, bliżej, o tak. Otworzyć, zamknąć...
boli?

S. belkoce przez otwarte usta.

A.
Nie zamykać ust. Szerzej, szerzej, nie oddychać, boli?
S. belkoce przez otwarte usta.

Dźwięk pojedynczej struny wibruje, zrywa się, pęka.

Wrocław, luty 1967 r.